

Ludzie, którzy szli



TADEUSZ BOROWSKI

Ludzie, którzy szli

Najpierw budowaliśmy na pustym polu, leżącym za barakami szpitala, boisko do piłki nożnej. Pole leżało „dobrze” — z lewa cygański z jego wałęsającą się dzieciarnią, kobietami siedzącymi po ustępach i ślicznymi, wysztyftowanymi¹ na ostatnią nitkę flegerkami², z tyłu — drut, za nim rampa z szerokimi torami kolei, wciąż zapełniona wagonami, a za rampą obóz kobiecy. Właściwie nie żaden obóz kobiecy. Tak się nie mówiło. Mówiło się FKL — i wystarczy. Z prawa od pola były krematoria, jedno za rampą, obok FKL, drugie bliżej, tuż przy drucie. Solidne budynki, mocno osadzone w ziemi. Za krematoriami lasek, którym szło się do białego domku.

Budowaliśmy boisko wiosną i jeszcze przed jego skończeniem poczęliśmy siać pod oknami kwiatki i wykładać tłuczoną cegłą czerwone szlaczki naokoło bloków. Siała się szpinak i sałatę, słoneczniki i czosnek. Zakładało się trawniczki z wycinanej koło boiska murawy. Podlewało się to co dzień wodą przywożoną beczkami z obozowej umywalni.

Kiedy podlewane kwiatki podrosły, skończyliśmy boisko.

Teraz kwiatki rosły same, chorzy sami leżeli w łózkach, a myśmy grali w nożną. Co dzień po rozdaniu wieczornych porcji na boisko przychodził, kto chciał, i kopał piłkę. Inni szli pod druty i rozmawiali przez całą szerokość rampy z FKL.

Raz stałem na bramce. Była niedziela, spory tłumek flegerów i podleczonej chorych otoczył boisko, ktoś po nim uganiał się za kimś i na pewno za piłką. Stałem na bramce — tyłem do rampy. Piłka poszła na aut i potoczyła się aż pod druty. Pobiegłem za nią. Podnosząc ją z ziemi, spojrziałem na rampę.

Na rampę zjechał właśnie pociąg. Z towarowych wagonów poczęli wysiadać ludzie i szli w kierunku lasu. Z daleka widać było tylko plamy sukienek. Widocznie kobiety były już ubrane w letnie stroje, pierwszy raz w tym sezonie. Mężczyźni zdjęli marynarki i świecili białymi koszulami. Pochód szedł wolno, dołączali do niego ciągle nowi ludzie z wagonów. Wreszcie się zatrzymał. Ludzie usiedli na trawie i patrzyli w naszą stronę. Wróciłem z piłką i wybiłem ją w pole. Przeszła od nogi do nogi i wróciła łukiem pod bramkę. Wybiłem ją na korner. Potoczyła się w trawę. Znow poszedłem po nią. I podnosząc z ziemi, znieruchomiałem: rampa była pusta. Nie pozostał na niej ani jeden człowiek z barwnego, letniego tłumu. Wagony też odjechały. Widać było doskonale bloki FKL. Pod drutami znow stali flegerzy i krzyczeli pozdrowienia dla dziewcząt, które z drugiej strony rampy odkrzykiwały im.

Wróciłem z piłką i podałem na róg. Między jednym a drugim kornerem za moimi plecami zagazowano trzy tysiące ludzi.

Potem ludzie poczęli iść dwiema drogami do lasu: drogą wprost z rampy i tą drugą, z drugiej strony naszego szpitala. Obie wiodły do krematorium, ale niektórzy mieli szczęście iść dalej, aż do Zauny, która dla nich nie oznaczała tylko łaźni i odwszenia, fryzjerni i nowych, pofarbowanych na olejno łachów, lecz również życie. Zapewne życie w obozie, ale — życie.

Kiedy wstawiałem z rana do mycia podłogi, ludzie szli — tą i tamtą drogą. Kobiety, mężczyźni i dzieci. I nieśli tłumoki.

Kiedy siadłem do obiadu, lepszego, niż jadłem w domu — ludzie szli — tą i tamtą drogą. W bloku było dużo słońca, pootwieraliśmy na oścież drzwi i okna. pokropiliśmy podłogę, aby nie było kurzu. Po południu przynosiłem paczki z magazynu, które były

Śmierć, Morderstwo,
Zbrodnia

¹wysztyftowany — daw. wystrojony, wyszykowany. [przypis edytorski]

²fleger — sanitariusz szpitalny. [przypis edytorski]

przywożone jeszcze z rana z głównej poczty, z obozu. Pisarz roznosił listy. Doktorzy robili opatrunki, zastrzyki i punkcje³. Mieli zresztą jedną strzykawkę na cały blok. W ciepłe wieczory siadałem w drzwiach bloku i czytałem *Mon frère îve* Pierra Loti⁴ — a ludzie szli i szli — tą i tamtą drogą.

Wychodziłem nocą przed blok — w ciemności świeciły lampy nad drutami. Droga leżała w mroku, lecz słyszałem wyraźnie oddalony gwar wielu tysięcy głosów — ludzie szli i szli. Z lasu podnosił się ogień i rozświetlał niebo, a wraz z ogniem podnosił się ludzki krzyk.

Patrzyłem w głąb nocy, otępiały, bez słowa, bez ruchu. Wewnątrz mnie całe ciało drgało i burzyło się bez mego udziału. Nie panowałem już nad nim, choć czułem każde jego drgnienie. Byłem zupełnie spokojny, ale ciało buntowało się.

Niedługo potem poszedłem ze szpitala na obóz. Dnie były pełne wielkich wydarzeń. Na wybrzeżu Francji lądowały wojska sprzymierzone. Miał się ruszyć front rosyjski i podejść aż pod Warszawę.

Lecz u nas w nocy i w dzień czekały na stacji szeregi pociągów załadowane ludźmi. Odmykano im wagony i ludzie poczeli iść — tą i tamtą drogą.

Obok naszego obozu roboczego był niezamieszkały i niewykończony odcinek C. Gotowe stały tylko baraki i ogrodzenie z naelektryzowanego drutu. Ale nie było papy na dachach, a niektóre bloki nie miały prycz. Przy pryczach trzypiętrowych końskie bloki obozu w Birkenau mogły pomieścić do pięciuset ludzi. Na odcinku C włączano do tych bloków po tysiąc i więcej młodych dziewcząt, wybranych z tych ludzi, którzy szli. Dwadzieścia osiem bloków — ponad trzydzieści tysięcy kobiet. Kobiety te ostrzyżono do skóry, ubrano w letnie sukieneczki bez rękawów. Bielizny nie dostały. Ani łyżki, ani miski, ani szmaty do ciała. Birkenau leżało na mokradłach u podnóża gór. W dzień doskonale było je widać przez przejrzyste powietrze. Rano tonęły we mgle i zdawały się być oszronione, ponieważ ranki były niezwykle zimne i nasiąknięte mgłą. Ranki te orzeźwiały nas przed upalnym dniem, ale kobiety, które o dwadzieścia metrów na prawo stały od piątej rano na apelu, były zsiniałe od zimna i tuliły się do siebie jak stado kuropatw.

Nazwaliśmy ten obóz Perskim Rynkiem. W dnie pogodne kobiety wychodziły z bloków i kłębiły się na szerokiej drodze między blokami. Barwne letnie suknie i kolorowe chusteczki zakrywające gołe głowy sprawiały z daleka wrażenie jaskrawego, ruchliwego, gwarnego rynku. Przez swoją egzotyczność — perskiego.

Z daleka kobiety nie miały ani twarzy, ani wieku. Tylko białe plamy i pastelowe postacie.

Perski Rynek nie był obozem gotowym. Komando Wagner⁵ budowało na nim drogę z kamienia, którą ubijał wielki walec. Inni gmerali przy kanalizacji i umywalniach, świeżo zakładanych na wszystkich odcinkach Birkenau. Jeszcze inni kładli podwaliny pod dobrobyt odcinka: zwozili kołdry, koce, naczynia blaszane i skrzętnie składali je do magazynu do dyspozycji szefa, zarządzającego esesmana. Oczywiście, część z tych rzeczy natychmiast szła na obóz, rozkradana przez pracujących tam ludzi. Tyle zresztą było pożytku z tych wszystkich kołder, koców i naczyń, że można było je ukraść.

Wszystkie dachy nad budami blokowych na całym Perskim Rynku zostały pokryte przeze mnie i moich towarzyszy. Nie czyniono tego z nakazu ani przez litość. Kryliśmy bowiem zorganizowaną papą i lepiliśmy zorganizowaną smołą. Nie robiliśmy tego również przez solidarność ze starymi numerami, flegerkami z FKL, które objęły tu wszystkie funkcje. Każdą rolę papy, każdy kubel smoły blokowe musiały zapłacić. Kapie⁶, komandoführerowi⁷, prominentom z komanda. Zapłacić różnie: złotem, żywnością, kobietami z bloku, sobą. Jak która.

Tak samo jak myśmy latali dachy, elektrycy okładali światło, stolarze robili budy

³punkcja — zabieg medyczny polegający na wkłuciu igły pozwalającej na opróżnienie jamy ciała z płynu (np. punkcja zatok), pobranie płynu (np. punkcja łądzwiowa) lub podania substacji. [przypis edytorski]

⁴Pierre Loti, właśc. Julien Viaud (1850–1923) — francuski oficer marynarki i pisarz, znany z dziennika podróży do Maroka oraz powieści i opowiadań, których akcja rozgrywa się w egzotycznych krajach. [przypis edytorski]

⁵komando Wagner — chodzi prawdopodobnie o komando (grupę więźniów wyznaczonych do wykonania konkretnej pracy) pracujące dla firmy Wagner, budującej drogi obozowe. [przypis edytorski]

⁶kapo — więzień, pełniący funkcję dozorca pozostałych więźniów. [przypis edytorski]

⁷Komandoführer (niem.) — dowódca komanda więźniarskiego. [przypis edytorski]

i sprzęty do bud z zorganizowanego drzewa, a murarze przynosili ukradzione żelazne piecyki i murowali, gdzie trzeba.

Wtedy poznałem oblicze tego dziwnego obozu. Przychodziliśmy z rana pod jego bramę, pchając przed sobą wózek z papą i smołą. Na bramie stały wachmanki, biodrzaste blondyny w wysokich butach z cholewami. Blondyny rewidowały nas i wpuszczały do środka. Później szły same na kontrolę bloków. Niejedna z nich miała swoich kochanków wśród murarzy i cieśli. Oddawały się im w niewykończonych umywalniach albo w budach blokowych.

Potem wjeżdżaliśmy w głąb obozu między jakieś bloki i tam na placu rozpalaliśmy ogień i gotowaliśmy smołę. Kobiety natychmiast oblegały nas tłumem. Błagały o scyzoryk, chusteczkę do nosa, łyżkę, ołówek, kawałek papieru, sznurówkę, chleb.

— Wy przecie jesteście mężczyznami i możecie wszystko — mówiły. — Tak długo żyjecie w tym obozie i nie umarliście. Na pewno macie wszystko. Dlaczego nie chcecie podzielić się z nami.

Rozdawaliśmy im wszystkie drobiazgi, wywracaliśmy kieszenie na znak, że już nic nie mamy. Zdejmowaliśmy koszule dla nich. W końcu zaczęliśmy przychodzić z pustymi kieszeniami i nie dawaliśmy nic.

Te kobiety nie były jednakowe, jak wydawało się nam z perspektywy drugiego odcinka, o dwadzieścia metrów na lewo stąd.

Były wśród nich maleńkie dziewczynki z nieobciętymi włosami, zaplątane cherubinki na obrazie sądu ostatecznego. Były młode dziewczęta patrzące ze zdumieniem na tłum kobiet koło nas i z pogardą na nas, na szorstkich, brutalnych mężczyzn. Były mężatki rozpaczliwie proszące nas o wiadomości o zaginionych mężach, były matki szukające u nas śladu po swoich dzieciach.

— Nam jest tak źle, zimno, jesteśmy głodne — płakały — czy tylko im jest lepiej?

— Im jest na pewno lepiej, jeżeli istnieje sprawiedliwy Bóg — odpowiadaliśmy poważnie, bez zwykłych kpín i szyderstw.

— Lecz przecież nie umarli? — pytały się kobiety, patrząc niespokojnie w oczy.

Odchodziliśmy w milczeniu, spiesząc się do swojej pracy.

Blokowymi na Perskim Rynku były Słowaczki, znające język tych kobiet. Dziewczęta te miały za sobą po parę lat obozu. Pamiętały początki FKL, kiedy trupy kobiet leżały pod wszystkimi blokami i gnily niewynoszone ze szpitalnych łóżek, a kał ludzki potwornymi stosami gromadził się w blokach.

Mimo zewnętrznej szorstkości zachowały kobiecą miękkość i — dobroć. Pewnie miały swoich kochanków i tak samo kradły margarynę i konserwy, aby zapłacić za przywiezione koce albo sukieneczki z efektów, ale...

...ale pamiętam Mirkę, tęgą, małą dziewczynę w kolorze różowym.

Budę miała urządzoną też na różowo i różowe firaneczki w oknie wychodzącym na blok. Powietrze w budzie osiadało różowym refleksiem na twarzy i dziewczyna wydawała się jakby osnuta delikatnym welonem. Kochał się w niej Żyd z naszego komanda, który miał zepsute zęby. Żyd kupował dla niej świeże jajka, zebrane z całego obozu, i opakowane miękko rzucał przez druty. Spędzał z nią długie godziny, nie zważając ani na kontrolę esesmanek, ani na naszego szefa, który chodził z olbrzymim rewolwerem przytroczonym do letniego białego munduru. Szefa zwaliśmy słusznie Filipkiem, bo wyrastał, gdzie go nie posiali⁸.

Któregoś dnia Mirka podbiegła pod dach, na którym kładliśmy papę. Kiwnęła ręką na Żyda i krzyknęła do mnie:

— Niech pan zejdzie! Może i pan coś pomoże!

Zsunęliśmy się z dachu po drzwiach bloku. Chwyciła nas za ręce i pociągnęła do siebie. Wprowadziła między prycze i wskazując na barłóg pełen kolorowych kołder i na dziecko leżące pośrodku, rzekła z afektacją:

— Patrzcie, przecież ono niedługo umrze! Powiedzcie, co ja mam robić? Dlaczego ono tak nagle zachorowało?

⁸szefa zwaliśmy słusznie Filipkiem, bo wyrastał, gdzie go nie posiali — filip, filipek to dawne określenie zajęcia, które wzięło się z gwary myśliwskiej. [przypis edytorski]

Mężczyzna

Matka, Kobieta

Kobieta

Dziecko

Dziecko spało bardzo niespokojnie. Było jak róża w złotym otoku: rozpalone policzki i złota aureola włosów.

— Jakie ładne dziecko — szepnąłem cicho.

— Ładne! — krzyknęła Mirka — pan wie, że ładne! Ale ono może umrzeć! Muszę je ukrywać, żeby nie poszło do gazu! Esesmanka może je znaleźć! Pomóżcie mi!

Żyd położył jej rękę na ramieniu. Otrząsnęła się gwałtownie i zaczęła łkać. Wzruszyłem ramionami i wyszedłem z bloku.

Z daleka widać było wagony idące wzdłuż rampy. Przywoziły nowych ludzi, którzy będą szli. Drogą między odcinkami wracała od wagonów jedna grupa Kanady i minęła drugą, która szła na zmianę. Z lasu podnosił się dym. Usiadłem koło gotującego się kotła i mieszając smołę, myślałem długo. W pewnej chwili złapałem się na myśli, że chciałbym mieć takie dziecko o rumianych we śnie policzkach i rozrzuconych włosach. Roześmiałem się z niedorzecznej myśli i poszedłem na dach przybijając papę.

Pamiętam również drugą blokową, wysokie, rude dziewczynisko o szerokich stopach i czerwonych dłoniach. Nie miała u siebie budy, tylko parę kocy⁹ rozłożonych na łóżku i parę zawieszonych na sznurkach zamiast ściany.

— Niech nie myślą — mówiła, wskazując na kobiety leżące głowa przy głowie na pryzkach — że człowiek ucieka od nich. Nic im nie mogę dać, ale nic od nich nie zabiorę.

— Wierzysz w życie pozagrobowe? — spytała mnie podczas jakiejś żartobliwej rozmowy.

— Czasami — odpowiedziałem powściągliwie. — Raz wierzyłem w więzieniu, a raz, kiedy byłem bliski śmierci w obozie.

— A jeśli człowiek robi źle, to będzie karany, prawda?

— Chyba tak, o ile nie ma jakichś wyższych norm sprawiedliwości niż ludzka. Rozumiesz — ujawnienie sprężyn, pobudki wewnętrzne, nieważność winy wobec istotnego sensu świata. Czy zbrodnia popełniona na płaszczyźnie może być karana w przestrzeni?

— Ale tak po ludzku, normalnie! — krzyknęła.

— Powinna być ukarana, to jasne.

— A ty byś robił dobrze, jakbyś mógł?

— Nie szukam nagrody, ja kryję dachy i chcę przeżyć obóz.

— I myślisz, że ich — kiwnęła głową w nieokreślonym kierunku — nie trzeba karać?

— Myślę, że ludziom, którzy cierpią niesprawiedliwie, nie wystarczy sama sprawiedliwość. Chcą, żeby winowajcy też ucierpieli niesprawiedliwie. To odczuwają jako sprawiedliwość.

— Tyś jest mądry chłop! Ale zupy to byś sprawiedliwie rozdać nie umiał, żeby nie dać swojej kochance! — rzekła z ironią i weszła w głąb bloku. Kobiety leżały piętrami na buksach¹⁰, głowa przy głowie. W nieruchomych twarzach świeciły się wielkie oczy. W obozie zaczynał się już głód. Ruda blokowa laziła między buksami i zagadywała kobiety, aby nie myślały. Wyciągała z buks śpiewaczki — i kazała śpiewać. Tancerki — i kazała tańczyć. Deklamatorki — i kazała mówić wiersze.

— Ciągle, ciągle pytają się mnie, gdzie są ich matki, ojcowie. Proszą, żeby do nich napisać.

— Mnie też proszą. Trudno.

— Ciebie! Ty przyjdiesz i pójdziesz, a ja? Proszę ich błagam, która ciężarna, niech się nie zgłasza do lekarza, która chora, niech siedzi w bloku! Myślisz, że wierzą? Przecież człowiek chce tylko ich dobra. Ale jak im pomóc, kiedy same pchają się do gazu!

Jakaś dziewczyna śpiewała na piecu modny przebój. Gdy skończyła, kobiety z buks zaczęły klaskać. Dziewczyna uśmiechała się i kłaniała. Ruda blokowa chwyciła się za głowę.

— Ja już nie mogę dłużej! Przecież to wstrętne — syknęła i wskoczyła na piec.

— Zła! — krzyknęła do dziewczyny.

Na bloku zrobiło się cicho. Blokowa podniosła rękę.

— Cicho! — krzyknęła, choć nikt nie wymówił słowa. — Pytałyście mnie, gdzie są wasi rodzice i wasze dzieci. Nie mówiłam wam, bo mi was żal. Teraz wam powiem, żebyście wiedziały, bo i z wami zrobią to samo, jeśli zachorujecie! Wasze dzieci, mężowie i rodzice

⁹kocy — dziś popr.: koców. [przypis edytorski]

¹⁰buksa — inaczej: pryzca. [przypis edytorski]

Dziecko, Marzenie

Śmierć

Kara, Sprawiedliwość,
Zbrodnia

nie są wcale w innym obozie. Zapchali ich do piwnicy i udusili gazem! Rozumiecie, gazem! Jak miliony innych, jak moich rodziców! Oni palą się na stosach i w krematoriach. Ten dym, który widzicie nad dachami, to wcale nie z cegielni, jak wam mówią. To z waszych dzieci! A teraz śpiewaj dalej — rzekła spokojnie do wystraszonej śpiewaczki, zeskoczyła z pieca i wyszła z bloku.

Wiadomo, że Oświęcim i Birkenau szły od złego do dobrego. Najpierw bili i zabijali na komandach nagminnie, potem sporadycznie. Najpierw ludzie spali na podłodze bokiem i obracali się na komendę, potem na pryczach, jak kto chciał, i nawet pojedynczo na łózkach. Wpierw ludzie stali po dwa dni na apelu, potem tylko do drugiego gongu, do godziny dziewiątej. W pierwszych latach nie było wolno przysyłać paczek, później pozwolono na pięćset gramów, wreszcie — ile chcesz. Nie wolno było mieć kieszeni, później pozwolono nawet na ubrania cywilne na terenie Birkenau. W obozie było „coraz lepiej”. Po trzech czy czterech latach. Nikt nie wierzył, że mogło być po dawnemu i był dumny, że przeżył. Im gorzej Niemcom na froncie, tym lepiej jest w obozie. A że im będzie coraz gorzej...

Na Perskim Rynku czas cofnął się wstecz¹¹. Oglądaliśmy znowu Oświęcim z czterdziestego roku. Kobiety pożądliwie chleptały zupę, której u nas na blokach nikt nie jadł. Śmierdziały potem i krwią kobiecą. Od godziny piątej rano stały na apelu. Zanim je policzono, była prawie dziewiąta. Wtedy dostawały zimną kawę. O trzeciej po południu zaczynały apel wieczorny i dostawały kolację: chleb i dodatki do chleba. Ponieważ nie pracowały, nie przysługiwała im culaga — dodatek za pracę.

Czasem wypędzano je z bloków w dzień na apel nadprogramowy. Ustawiały się ciasno piątkami i jedna za drugą wchodziły do bloku. Rozłożyste blondyny, esesmanki w butach z cholewami, wyciągały z szeregów chudsze, brzydsze, brzuchate i wrzucały do środka oka. Oko — były to sztubowe trzymające się za ręce. Tworzyły zamknięte koło. Napelnione kobietami oko posuwało się jak makabryczny taniec pod bramę obozu i wsiąkało w oko ogólne. Pięćset, sześćset, tysiąc wybranych kobiet. Szły wszystkie — tą drogą.

Czasami wchodziła esesmanka na blok. Rozglądała się po buksach, kobieta patrząca na kobiety. Pytała, kto chce iść do lekarza? Która jest ciężarna? Dostaną mleko i biały chleb w szpitalu.

Wychodziły kobiety z buks i ogarnięte okiem szły pod bramę — też na tę drogę.

Wolny czas — robiło się, aby dzień zeszedł, bo materiału było mało — spędzaliśmy na Perskim Rynku u blokowych, pod blokami albo w ustępie. U blokowych piło się herbatę albo szło się przespać na godzinkę do budy na gościnnie użyczonym łóżku. Pod blokami rozmawiało się z cieślami i murarzami. Płatały się koło nich kobiety, już w sweterkach i pończoszках. Przynieś byle jaką szmatę, to możesz z nimi zrobić, co chcesz. Jak obóz obozem, nie było takiej Kanady¹² na baby!

Ustęp jest wspólny dla mężczyzn i kobiet. Tyle że przedzielony deską. Po stronie kobiet — tłok i wrzask, u nas — cisza i miły chłodek od betonowych urządzeń. Siedzi się tu całymi godzinami i prowadzi dialogi miłosne z Katią, małą zgrabniutką sprzątaczką z ustępu. Nikt się nie krępuje i nikomu sytuacja nie przeszkadza. Człowiek już tyle widział w obozie...

Tak minął czerwiec. Przez dnię i nocę ludzie szli — tą i tamtą drogą. Od świtu do późnej nocy stał cały Perski Rynek na apelu. Dnie były pogodne i smoła topiła się na dachach. Potem przyszły deszcze i wiał ostry wiatr. Ranki wstawały przenikliwie zimne. Potem wróciła pogoda! Na rampę nieprzerwanie podjeżdżały wagony i ludzie szli dalej. Często staliśmy rano, nie mogąc wyjść do pracy, bo drogi były przez nich zatarasowane. Szli powoli, luźnymi gromadami i trzymali się za ręce. Kobiety, starcy, dzieci. Szli za drutami, zwracając ku nam milczące twarze. Patrzyli ku nam z litością i rzucali nam chleb przez druty.

Kobiety zdejmowały z rąk zegarki i ciskały nam pod nogi, gestami pokazując, że możemy wziąć.

¹¹czas cofnął się wstecz — cofnąć się wstecz uchodzi obecnie za pleonazm, błąd leksykalny, w którym zachodzi redundancja (zbędność): słowo *cofnąć się* zawiera już informację *wstecz*. [przypis edytorski]

¹²Kanada — grupa więźniów przebywających w obozie dłuższy czas, zajmujących się rozładunkami transportów, uważana za uprzywilejowaną. [przypis edytorski]

Orkiestra pod bramą grała fokstroty i tanga. Obóz patrzył na idących. Człowiek posiada małą skalę reagowania na wielkie uczucia i gwałtowne namiętności. Wyraża je tak samo jak drobne, zwykle odruchy. Używa wtedy tych samych prostych słów.

— Iluż ich już przeszło? Od połowy maja prawie dwa miesiące, licząc po dwadzieścia tysięcy dziennie... Koło miliona!

— Nie co dzień gazowali tyle. Zresztą, cholera ich wie, cztery kominy i parę dołów.

— To weź inaczej: z Koszyc i Munkacza prawie sześćset tysięcy, co tu gadać, wszystkich przywieźli, a z Budapesztu? Ze trzysta tysięcy będzie?

— Nie wszystko ci jedno?

— *Ja*¹³, ale chyba to się niedługo skończy? Przecież ich wszystkich wytłuką.

— Nie zabraknie.

Człowiek wzrusza ramionami i patrzy na drogę. Za gromadą ludzi powolutku idą esesmani, dobrotliwymi uśmiechami zachęcając do marszu. Pokazują, że to już niedaleko i poklepują po ramieniu jakiegoś staruszka, który biegnie do rowu i gwałtownie ściągając spodnie i śmiesznie podrygując kuca w nim. Esesman pokazuje mu oddalającą się gromadę. Staruszek kiwa głową, podciąga spodnie i śmiesznie podrygując, biegnie za nią.

Człowiek uśmiecha się ubawiony, widząc innego człowieka, któremu tak śpieszno do komory gazowej.

Potem chodziliśmy na efekty smarować na nowo zaciekające dachy. Piętrzyły się tam góry łachów i niewypaproszonych tłumoków. Skarby zabrane tym ludziom, którzy szli, leżały na wierzchu, nieprzykryte od słońca ani od deszczu.

Rozpaliliśmy ogień pod smołą i szliśmy na organizację. Jeden przynosił wiadro z wodą, inny worek suszonych wiśni czy śliw, inny cukier. Gotowaliśmy kompot i nieśliśmy na dach, do picia tym, którzy markowali robotę. Inni smażyli boczek z cebulą i zagryzali chlebem z kukurydzy. Kradliśmy wszystko, co było pod ręką, i nieśliśmy na obóz.

Kradzież

Z dachów doskonale widać było palące się stosy i pracujące krematoria. Tłum wchodził do środka, rozbierał się, a potem esesmani zamykali szybko okna, szczelnie dokręcając śruby. Po paru minutach, które nie wystarczały nawet na porządne zmasmarowanie kawałka papy, otwierali okna i drzwi z boku i wywietrzali. Przychodziło *sonderkomando*¹⁴ i wywlekało trupy na stos. I tak od rana do wieczora — od nowa każdego dnia.

Śmierć, Morderstwo,
Zbrodnia

Czasami po zagazowaniu takiego transportu przyjeżdżały spóźnione auta z chorymi i pielęgniarkami. Nie opłacało się ich gazować. Rozbierano do naga i albo *Oberscharführer*¹⁵ *Moll*¹⁶ strzelał z floweru, albo spychał żywcem do płonącego rowu.

Śmierć, Morderstwo,
Zbrodnia

Kiedyś samochodem przyjechała młoda kobieta, która nie chciała odejść od matki. Rozebrano je obie w komorze, matka poszła przodem. Człowiek, który miał prowadzić córkę, zatrzymał się, uderzony cudowną pięknnością jej ciała, i w podziwiewie podrapał się po głowie. Kobieta na ten ludzki, prostaczy gest odprężyła się. Zaczerwieniwszy się chwyciła go za rękę:

Kobieta, Piękno, Ciało

— Powiedz, co oni ze mną zrobią?

— Bądź odważna — odrzekł człowiek, nie wyswobadzając ręki.

— Ja jestem odważna! Widzisz, nie wstydzę się ciebie! Powiedz!

— Pamiętaj, bądź odważna, chodź. Będę cię prowadził. Nie patrz tylko.

Ujął ją za rękę i powiódł, drugą ręką zasłaniając jej oczy. Trzask i woń palącego się tłuszczu i ciepło bijące z dołu przeraziły ją. Szarpnęła się. Ale on delikatnie pochylił jej głowę, odsłaniając kark. W tej chwili *Oberscharführer* strzelił, prawie nie celując. Człowiek pchnął kobietę do płonącego rowu i gdy padała, usłyszał jej okropny, urywany krzyk.

Śmierć, Morderstwo,
Zbrodnia

Kiedy napelnił się kobietami wybranymi z ludzi, którzy szli, Perski Rynek, obóz cygański, FKL, otwarto naprzeciwko Perskiego Rynku — nowy obóz, Meksyk. Był tak samo niezagospodarowany i tak samo instalowano tam budy dla blokowych, światło i wstawiano im szyby.

Dnie były podobne do dni. Ludzie wysiadali z wagonów, i szli — tą i tamtą drogą.

¹³*ja* (niem.; gw.) — tak. [przypis edytorski]

¹⁴*sonderkomando* — grupa więźniów pracująca przy wynoszeniu zwłok z komór gazowych. [przypis edytorski]

¹⁵*Oberscharführer* — stopień paramilitarny w SS. [przypis edytorski]

¹⁶*Moll, Otto* (1915–1946) — szef krematoriów w Auschwitz-Birkenau, zbrodniarz nazistowski. [przypis edytorski]

Ci w obozie mieli swoje troski: czekali na paczki i listy z domu, organizowali dla przyjaciół i kochanek, intrygowali między innymi ludźmi. Noce zapadały po dniach, deszcze przychodziły po suszy.

Z końcem lata przestały przychodzić pociągi. Coraz mniej ludzi szło do krematorium. Ci z obozu czuli z początku pewną pustkę. Potem przyzwyczaili się. Zresztą nadeszły inne ważne wydarzenia: ofensywa rosyjska, powstająca i płonąca Warszawa, transporty z obozu odchodzące co dzień na zachód, w nieznaną, na nową chorobę i śmierć, bunt w krematoriach i ucieczka sonderkomanda, zakończona wystrzelaniem uciekinierów.

Potem rzucono człowieka z obozu do obozu, bez łyżki, bez miski, bez szmaty do dała.

Pamięć ludzka przechowuje tylko obrazy. I dziś, kiedy myślę o ostatnim lecie Oświęcimia, widzę niekończący się barwny tłum ludzi uroczyście zdążający — tą i tamtą drogą, kobietę stojącą z pochyloną głową nad płonącym rowem, rudą dziewczynę na tle ciemnego wnętrza bloku, która krzyczy do mnie niecierpliwie:

— Czy człowiek będzie karany? Ale tak po ludzku, normalnie!

I jeszcze widzę przed sobą Żyda z zepsutymi zębami, jak przychodzi co wieczór pod moją buksę i podnosząc głowę pyta się nieodmiennie:

— Dostałeś dziś paczkę? Może sprzedasz jajka dla Mirki? Zapłacę markami. Ona tak lubi jajka...

Pamięć, Wspomnienia

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/borowski-ludzie-ktorzy-szli/>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Borowski, *Pożegnanie z Marią i inne opowiadania*, PIW, Warszawa 1971.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Maria Świetlik, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6475-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).